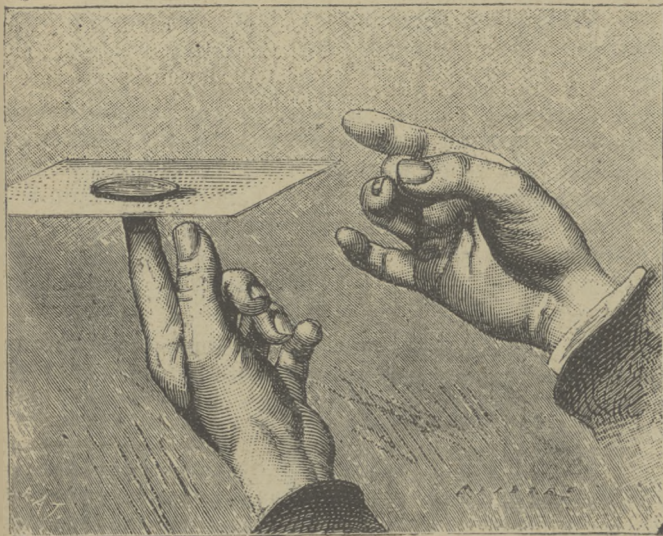


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Prawo bezwładności ciał niewyczerpanem jest źródłem do obmyślenia zabawnych sztuczek. Oto np. sztukmistrz kładzie na palcu wskazującym lewej ręki bilet wizytowy, a na nim jakąkolwiek sztukę monety. Teraz prawą ręką daje porządne szcztka, trafiając w sam środek brzegu biletu, nawprost monety. Bilet wyfrunie i spadnie na ziemię, a pieniądz pozostanie na palcu; rozumie się, jeżeli wszystko będzie zgrabnie i szybko wykonane.

ŚLABE PTASZĘ.

Jesienny wiatr dziwnie po polach zawodzi.
 To jęczy, to kwili, to wściekle się zrywa;
 I w zmarłych listeczkach rozsianych po świecie
 Szeleści tak smętnie, że duszę rozrywa!
 Ptaszeta gromadą zleciały na łąkę,
 I gwarzą, i radzą, i czegoś się kłóca,
 I skrzydeł próbują, czy silne do lotu;
 Czy tam je doniosą, gdzie wiosna wieczysta.
 Nareszcie po długich świągotach i gwarach,
 Szykując się równo, jak wojsko do boju,
 Uniosły się z ziemi, i wolno, poważnie,
 Szybując, zniknęły w przestworach dalekich.
 Lecz cóż tam takiego szarzeje na łące?
 Czyj głos to świegoce tak tęsknie, rzewliwie,
 Jak dziecię za matką, wygnaniec za krajem,
 Jak rozpacz, co deskę ostatnią utracą...
 Ach! ptaszę to biedne, samotne zostało;
 Zabrakło mu hartu w skrzydełkach słabiuchnych,
 Więc wlecieć nie mogło za braćmi - ptakami!
 A zimy wnet białej lodowe oddechy
 Nadeszły, wionęły i wszystko zamarło.
 I biedna ptaszyna usnęła na wieki,
 Nie ujrzy już nigdy cyprysów, ni braci...

Hartuj siły, duchu młody;
Walki, burze i zawody
Niech nie trwożą cię.
Od najrańszych godzin życia
Wszystkie serca twego bicia,
Opancerzaj w stal!
Gdy cię świat goryczą poić
I w szyderstwo zechce zbroić,
Mężne czoło staw.
Nie znaj zemsty. Ludzkość biedna!
Słabość — strawa jęj powszedna,
Więc pobjażaj jęj.
Zapatrzonny w niebios szczyty,
Myśl mięj czystą, jak błękitny
Tych anielskich stref.
Tak się hartuj, duchu młody,
Wówczas bóle i zawody
Nie ustraszają cię.
Wówczas złany walki potem,
Wzlecisz chyżo orła lotem
W nieskończoną dal,
Gdzie jaśnieje wielkość czynu,
Bohaterstwa i wawrzynu,
Gdzie się kwieci raj!...
I nie umrzesz z braku siły,
Ze ci skrzydła odmówiły
Lotu w górny szlak.

Marya Pomorska.

CZAROWNIK MOGUNCKI.

(Dokończenie).

Andrzej uwierzył wreszcie, że ma przed sobą przyjaciela swego pana w własnej osobie, wydobył list z kryjówki i oddając go, mówił:

— To tylko część przesyłki, oprócz listu, miałem panu wręczyć tę oto księgę, którą mi skradli lancknechci i sprzedali, jak widzę.

— Ach! — zawołał arcybiskup — więc twoim kosztem wzbogaciłem się, doktorze. Zapłaciłbym jednak daleko więcej, niż tych marnych dwadzieścia talarów, żebym mógł nabyć bez pokrzywdzenia ciebie taką przepyszną Biblią. Pismo to jest rzeczywiście nieporównane, nigdy nie widziałem nic podobnego. Wiersze nawet obliczałem, w każdej kolumnie mieści się po czterdzieści dwa, nigdzie nie znajdziesz choćby o jeden wiersz omyłki. Jest to unikat nieociszczony, muszę jednak skarb ten zwrócić prawemu właścicielowi.

— Unikat! — powtórzył doktor z uśmiechem — o nie, ekscelencyo. Jeżeli ofiarą tej księgi zdołam pozyskać tak dostojnego i możnego protektora dla przyjaciela mego, Jana z Sorgenlochu, nie stracę nic na tem, z łatwością to powetuję sobie. Nie odczytałem jeszcze pisma tego, lecz wiem zawczasu, co ono zawiera, gdyż umówiliśmy się z sobą dawniej, że gdy mu zabraknie środków do wykonania podobnych arcydzieł, uda się do mnie o pomoc. Ja zaś z radością poświęcę część mego majątku na urzeczywistnienie jego pomysłów. Wynalazek ten stanowić będzie epokę w dziejach ludzkości.

— Ale mnie sumienie nie pozwala zatrzymać tak cennego przedmiotu, przeznaczonego dla ciebie, doktorze, przez przyjaciela. Na przepisanie powtórne takiej Biblii potrzeba

dużo czasu, parę lat mozolnej i żmudnej pracy... Uśmiechasz się, cóż to znaczy?

— Ekscelencyo, nie mogę jeszcze w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie, muszę poczekać, aż mię przyjaciel uwolni od danego słowa; przyrzekłem mu uroczyste milczenie. Jeżeli w tem piśmie znajdę na to pozwolenie, przekonam w kilku słowach waszę ekscelencyą, że ofiara moja łatwo bardzo może być powetowana. W każdym razie błagam o zatrzymanie księgi.

— Czytajże, czytaj, doktorze, a ja tymczasem pomówię z tym człowiekiem, który mi się już trochę spokojniejszy wydaje.

Po odczytaniu listu doktor zbliżył się znowu do lektyki. Dostojny pasterz był niezmiernie zaciekawiony rozmową swoją z Andrzejem, który mu nic a nic wyjaśnić nie umiał.

— Kwadraciki metalowe wyrzynane, osadzone na drewnianych deseczkach, ramki, wypełnione drobnymi kawałeczkami metalu, dowolnie zsuwanemi i rozsuwanemi; cóż to wszystko może mieć za związek z tem przepysznem piśmem w księdze? — pytał arcybiskup ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

— Związek jest najprostszy w świecie, ekscelencyo — odpowiedział doktor — związek przyczyny ze skutkiem. Ale ten człowiek sam tego nie pojmuje i nic wyjaśnić nie potrafi. On był ślepem i biernem narzędziem w rękach genialnego wynalazcy. Niech wasza ekscelencya raczy posłuchać, mam już prawo wyjawić tę tajemnicę. Od młodości, będąc jeszcze na uniwersytecie, Jan z Sorgenlochu myślał o sposobach ułatwienia nauki książkowej. Wysoka cena ksiąg czyni je nieprzystępnymi dla uboższych uczniów. Ażeby się wyuczyć prawideł gramatyki, musieliśmy je wszystkie własnoręcznie przepisać. To samo z historią i innymi przedmiotami. Mnóstwo czasu marnować trzeba na to, aby nabyte wiadomości utrwalić i zachować. Jan z Sorgenlochu przebywał czas jakiś w Holandyi, tam zdarzyło mu się widzieć robotę obrazków świętych. Postać świętego wyrzyna się na drewnianej deseczce i z tego jednego wzoru można łatwo odbić setki obrazków.

— Widziałem nieraz obrazki tego rodzaju — przerwał arcybiskup — ale przyznam ci się, że nie wiedziałem, jakim to sposobem się robi.

— Bardzo prostym: jak już wspomniałem, rysunek wyrzyna się rylcem na deseczce drewnianej, a ta pokrywa się atramentem. Na to po wierzchu nakłada się kawałek białego papieru i przyciska się mocno za pomocą przyrządu w rodzaju prasy ręcznej. Po odjęciu zwierzchniej deseczki, papier biały zamienia się na „obrazek”, miejsca wypukłe zaznaczają się najdokładniej czarnym atramentem, wklęsłości pozostają białe.

— To rozumiem — rzekł arcybiskup — ale jakimże cudem ten sposób zastosowany być może do wykonania księgi, mającej z tysiąc stronic. Trzebaby chyba wyrznąć tysiąc desek...

— Genialny pomysł Jana z Sorgenlochu usuwa właśnie tę trudność, trzydzieści lat jednak potrzeba było na wynalezienie właściwego sposobu. Przyjaciel mój dokonał tego. Sposób polega na tem, aby wyrzynać, nie całe stronicę, lecz pojedyncze litery, które mogą być dobierane i układane dowolnie. Złożywszy jedną stronicę, rozsypać je można i składać z kolei drugą, odmienną. Jan wyrabiał najpierw litery z drzewa, potem zastąpił drzewo zbyt kruche metalem. Długie lata pracował nad wypróbowaniem i wynalezieniem najlepszej mieszaniny z połączenia kilku metali złożonej. Wasza ekscelencya nazwałęś tę Biblią unikatem, skarbem nieocenionym, jedynym na świecie; ja się uśmiechałem na to, bo wiem, że Biblii podobnych odbito na raz kilkaset egzemplarzy. W tym samym przeciągu czasu, którego najwprawniejszy pisarz potrzebuje na przepisanie dziesięciu stronic, Jan z Sorgenlochu odbije ich setki, może tysiące, Oto jest dzieło, w którym mam wziąć udział, gdyż Faust-złotnik, dotychczasowy współnik Jana, zaczął go prześlado-

wał, chce przywłaszczyć sobie wszystkie zyski genialnego wynalazku.

— Genialnego w rzeczy samój! — zawołał pasterz zachwycony — słusznie mu tę nazwę nadałeś! O Boże! więc słońce wiedzy odtąd dla wszystkich jaśnieć będzie, a nie dla wybranych jedynie! Myśl człowieka obiegnie z łatwością świat cały, łącząc ludzkość pomiędzy sobą, jednocząc usiłowania, splatając rozproszone ogniwa. Ten wynalazek nowe widnokreśli otwiera przed nami, nie śmiałem nawet marzyć o czemś podobnym. Doktorze, cóż to za geniusz, ten przyjaciel twój Jan z Sorgenlochu! zasługa jego tak jest wielka, że nie wiem, jaka nagroda zdołałaby jęj wyrównać; bogactwo, szlachectwo, wszystko to jeszcze zamało dla niego.

— Jan z Sorgelochu posiada szlachectwo, pochodzi z dawnego rodu, lecz ponieważ jest ubogi i musiał od młodości oddawać się rzemieślniczej pracy, więc nie nosi prawdziwego, szlacheckiego nazwiska, Genfleisch z Sorgelochu. Znany jest w Moguncyi powszechnie pod nazwą Gutenberga, która to nazwa pochodzi od ziemi, posiadanej niedawno, lecz sprzedanej w końcu, gdy zabrakło gotówki na wyrabianie liter.

— Nazwisko to wstawione będzie w przyszłości więcéj od najznakomitszych, książęcych, niechże je nosi nadal; wyznaczę mu niezwłocznie pensją dostateczną, aby mógł dalej bez trudności i przeszkód dzieło swoje prowadzić. Ale patrz, doktorze, ten biedak zemlał podobno.

Andrzej nie mógł znieść tak gwałtownego przejścia od zgrzyot i przestachu do téj wielkiej radości i osunął się na ziemię nieprzytomny. Służba arcybiskupa zajęła się otrzeźwieniem biedaka, wlano mu do gardła parę kropel kordyału, który mu nietylko przytomność wrócił, lecz i język znakomicie rozwiązał.

— O, mój Boże! — wołał — jakże ci lancknechei doskonale zrobili, że mnie obdarli, obili, ogłodzili!... Panie doktorze, raz tylko w życiu chciałem udawać rozumnego, gdym panu na słowo nie uwierzył, a palnąłem większe daleko głupstwo, niż zwykle. Niechże mi pan to wybaczyć raczy łaskawie.

— Słuchaj, przyjacielu — rzekł arcybiskup — oto masz dwadzieścia czerwonych złotych na oporządzenie. Tymczasem jeden z tych sług moich pożyczyci ci płaszcz, nie trać czasu i natychmiast powracaj do Moguncyi. Ja tam poszę od siebie do twojego pana, zapewniając go o mojej opiece, chcę jednak, abyś mu pierwszy zaniósł tę pomyślną wiadomość.

Andrzej ukląkł znowu i składał dzięki pasterzowi; ten go pobłogosławił i rzekł na pożegnanie:

— A radzę ci, mój kochany, naucz się czytać, teraz książki dla każdego będą przystępne, z nich tylko nauczysz się prawdziwego rozumu i nie będziesz brał genialnych wynalazków za czarnoksiężkie sztuki.

V.

Śpiesznie puścił się Andrzej z powrotem tąż samą drogą, którą przebywał niedawno wśród takich niemiłych przygód. Zatrzymał się znowu w gospodzie „Pod rogiem Rolanda” i zadysponował porządny obiad, nawet za chleb spożyty rano hojnie zapłacił zdumionej gospodyni.

I gospodarz, i gospodyni, i trzy służące, wszyscy oglądali piękny płaszcz Andrzeja, a cóż to dopiero było wykrzykników, gdy się dowiedzieli, że to dar księcia arcybiskupa. Jemu zaś ciągle, nawet i przy jedzeniu smacznych kąsków, chodziły po głowie ostatnie słowa dostojnika kościoła. Gdy więc zapytała gospodyni, o czem się tak zamyślił, odpowiedział bez wahania:

— Myślę nauczyć się czytać w książkach.

— Czytać w książkach? A toż na co? — spytał gospodarz. Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem, a gospodarz dotknął palcem czoła w sposób znaczący, potwierdził się w myśli, rano jeszcze powziętęj, że biedakowi okropne te wy-

padki pomieszały w głowie. Gospodyni i trzy służące także o tem nie wątpiły.

A jednak Andrzej wykonał swoje przedsięwzięcie, silna wola cudów dokazuje. Wyuczył się czytać i w kilka lat potem zaliczono go powszechnie w poczet tak zwanych „Dzieci Gutenberga”, to jest drukarzy, wstępujących w ślady mistrza i roznoszących genialny wynalazek jego po świecie. Wojna w tych czasach straszne w Niemczech szerzyła zniszczenie, w Moguncyi pożar pochłoniął drukarnię Gutenberga, uczniowie jego się rozbiegli w różne strony. Andrzej Drittman dostał się do Francyi i do Włoch, tam zakładał drukarnie i licznych uczniów wyuczył swęj sztuki. Jan Genfleisch z Sorgenlochu, zwany powszechnie Gutenbergiem, pod tem nazwiskiem odbierał do śmierci pensją, wyznaczoną mu przez światłego księcia arcybiskupa Moguncyi i mógł na starość używać dobrze zasłużonego spoczynku.

W PRACOWNI MALARZA.

Jeden z francuzkich malarzów Jubil bardzo rozmaite zwierzęta, a szczególnięj psy i małpki. Chował je więc, pieścił i oswajał, a nawet nieraz umieszczał w swoich obrazach. Często przesłub małpka, ugłaskane przez dobrego pana, siedziały w pracowni, a malarz chwycił ich podobieństwo przenosił na płótno. Ulubięncami malarza były dwie małpki: Kru i Toto, oraz dwa psy: Afora i Dżoj. Co najdziwniejsza jednak, że te cztery stworzonka żyły ze sobą w jak najlepszej zgodzie; tak się zaś przyzwyczaiły do pozowania i tak się w pracowni spokojnie zachowywały, jakgdyby dumne były z tego, że ich podobizny przedstawione zostaną światu i rozstawią imię chlebobodawcy. Czasami nawet i nie pozując zostawały w pracowni malarza, wtedy małpki przypatrywały się przychodzącym, naśladowały ich ruchy; były jednak posłuszne i karne, nie przeszkadzały w pracy swemu panu, lecz przyglądały się jak ubierał osoby w kapelusze z piórami, drapował na nich płaszcze i do malowania ustawiał. Psy zaś, powitawszy przychodniów, łąsiły im się i usiadłszy w kącie, nie naprzykrzały się ani pieśczołą ani skomieniem.

Malarz, mimo karności swych wychowawców, nie dowierzał im i wychodząc zamykał pracownię, zostawiając ich w przyległym pokoju. Raz jednak śpieszył się bardzo i zapomniawszy drzwi na klucz zamknąć. Kru, po wielu figlach i skokach, uczepliła się klamki, drzwi się otworzyły i cała wesoła rzesza, piszcząc i skomląc, do pracowni wtargnęła.

Toto wywinęła kilka koziołków, Kru zaczęła rozrzucać kostiumy i makaty, Dżoj z powagą obwąchiwał farby, Afra rozciągnęła się wygodnie około franki.

Wkrótce jednak przemyślna Kru zapragnęła zabawić się w malarza, złapała więc kapelusz z piórami, włożyła go na głowę Dżoja, a rozrzuconą makatę zarzuciła mu na grzbiet. Dżoj, jakgdyby zrozumiał swą rolę, stanął na dwóch łapach opierając się o filar, zdobiący pracownię. Ucieszona tem Kru włożyła mu w łapy wachlarz, a sama, uchwyciwszy paletę i pędzel, usiadła przed stalugą, gdzie co tylko świeże naciągnięte było płótno. Afra, uprzykrzywszy sobie spokojne leżenie, przyciągnęła stojący w pobliżu kapelusz i wraz z łapą włożyła doń łaskę; Toto zaś, nie chcąc pozostać bezczynną, zanurzyła łapę w słoju z przygotowaną farbą niebieską w większej ilości.

Wtem na schodach dało się słyszeć przyśpieszone stąpanie. Miłe towarzystwo poznało chód swego pana, czując zaś instynktownie, że za samowolne wtargnięcie do pracowni czeka je kara, zaczęło uciekać. Lecz Dżoj zaplątał się we wspaniałym płaszcz, kapelusz z piórami spadł mu na oczy, i nie mogąc się uwolnić ze swego stroju, warczał złośliwie; Toto nosem utknęła w słoju z niebieską farbą, Kru, rzucając paletę i pędzle, wskoczyła na wierzch stalugi i przewró-

ciła ją wraz z płótnem; Afra zaś, chcąc pokorą przebłagać pana, obie łapy włożyła we wnętrze kapelusza, a przygniótłszy go należycie, zaczęła warować ze zwykłym sobie spokojem.

Malarz, ujrawszy ten nieład, schwycił się za głowę; nie mógł jednak obwinać zwierząt, tylko siebie, że drzwi nie zamknął. Nie chcąc ponieść więcej szkody, wyrzucił najpierw skaczącą, i znaczącą swe ślady błękitną farbą Toto, uwolnił potem ze wspaniałego stroju Dżoja, Kru, nie czekając aż ją wyrzuci, sama uciekła, tylko Afra dalej warowała, gniotąc coraz więcej nieszczęśliwy kapelusz i uderzając o podłogę ogonem. Malarz odtąd pamiętał o zamknięciu pracowni, a Kru napróżno się wieszała u klamki i biła w zamek łapkami, już jej się nigdy nie udało zabawić w swego pana.

Z. Morawska.

Zbiór legend i podań dawnych

przez M. ZIELIŃSKĄ.

Jeszcze „baran”.

(Który ma być biały w polu czerwonym, na zielonej trawie stoi we krwi po boki).

W ziemi bocheńskiej, o półtoręj mili od Wieliczki, stał przed dwustu laty we wsi Staniątkach, podobnie jak dzisiaj stoi, wielki i bogaty klasztor panien Benedyktynek, założony przez Klemensa z Ruszczy w roku 1244. Był on jednak trochę od dzisiejszego odmienny, a mianowicie był wielce obronny, do warowni raczej niż do domu Bożego podobny, bo też i niczem innym był w istocie, zarówno jak inne klasztory, kościoły i zamki a dworce wielko pańskie, stanowiące jedyne, prócz lasów, schronienie dla okolicznych mieszkańców, podczas częstych najazdów i napaści wrogów, otaczających ze wszech stron tę ziemię. Klasztor Staniątkowski tem obronniejszym i pilniej strzeżonym nawet być musiał od innych, gdyż sława wielkich jego bogactw nęciła wrogów, Tatarów zaś nęciła i druga jeszcze okoliczność, a to ta, że panny Benedyktyнки wychowywały u siebie z wycażeniem swoim dużo i to co najzamożniejszych panienek szlacheckich, kształcąc je pięknie i wysoko bardzo w naukach i umiejętnościach właściwych: a wiadomo, jak skwapliwie porywali Tatarzy wszelką młodzież, aby ją drogo potem sprzedawać. To też klasztor w Staniątkach był pod owe czasy dniem i nocą zawarty, obwarowany, strażowany i zawsze obficie w żywność zaopatrzony, tak właśnie, jakby lada chwila spodziewano się tatarskiej napaści.

W takim to więc wielkim i warownym o niesłychanie grubych murach domu, otoczonym wałami, fosami, basztami i strażą, pewnego ponurego i ciemnego listopadowego wieczoru, odbywał się w głębi ogromnej sali dziwny jakiś i niezmiernie tajemniczy obrządek. Nie wtajemniczony widz napróżno by łamał sobie głowę nad jego znaczeniem, ale odgadnąć mógł odrazu, że odbywało się tutaj coś okropnego... Około trzydziestu panienek od dziesięciu do szesnastu lat wieku znajdowało się w tej sali oświetlonej ogromnym ogniem, płonącym na wielkim jak brama kominie, umieszczonym w pośrodku jednej z dwóch dłuższych ścian; w pobliżu, odwrócona bokiem do ogniska, siedziała w dużym krzesle starszeczka siostra Petronela, mająca pieczę nad panienkami w chwilach, w których obowiązki chórowe powoływały wszystkie zakonnice do chóru. W tej chwili przecież zdawało się, że to nie starszeczka nad pannami, lecz przeciwnie one nad nią obowiązek opieki mają, tak wielką troskliwością kilka z nich ją otaczały:

— Siostrze Petronelo, pozwól sobie daszek nad oczyma poprawić, żeby cię nie rozbolały bardziej od blasku — mówiła jedna, delikatnie i z uszanowaniem nasuwając ów daszek aż na sam nos siostrze zakonnej, cierpiącej na oczy.

— Bo najlepiej odwróćmy krzesło z siostrą Petronelą plecami do ognia, to już jej nic blask razić nie będzie — mó-

wiła druga i zaraz z pomocą towarzyszek dokonała tego, co rzekła.

— Oto stołeczek pod nogi, postaw nogi na stołeczku, siostrze Petronelo, bo cierpisz w nich darcie, a od podłogi wieje zimno — rzecze inna, podstawiając drewniany mały a ciężki stołek pod chore nogi.

— A ziółka postawić trzeba siostrze Petroneli pod ręką, ot tu, na małym stoliczku, aby mogła popijać, gdy się zakaszle — mówiła jeszcze inna panienka, stawiając znów ciężki i koszlawy a mały stolik przed chorą.

Tak obstawiona, odwrócona, zastawiona i zasłonięta daszkiem swoim siostra zakonna nie mogła teraz nic widzieć, co działo się wśród licznej i głównej gromadki panien koło komina, a tam właśnie działa się jakaś okropność tak wielka, że gdyby starszeczce przyszło na myśl odsunąć w górę swój daszek z nad oczu i spojrzeć bacznie na otaczające ją panny, byłaby musiała domyśleć się czegoś strasznego po samych śmiertelnie zbladłych twarzyczkach, lub wypieczonych rumieńcach, przerażonych oczkach i drżących od strachu dziewczęcych postaciach. Szybkie i wystraszone ruchy zebranych u komina, szepty drżącym głosem dźwięczące, oczy zwracające się co chwila z przestachem na drzwi wchodowe i tłumione okrzyki przerażenia za każdym głośniejszym jesiennego wichru zawyciem, wszystko to nacechowane było grozą wyrażną.

Dwie tylko starsze dziewczątka nie należały do tajemniczych i podstępnych działań towarzyszek, przechadzając się zdala od nich po sali, wzięwszy się pod ręce, rozmawiały półgłosem z jakąś niechęcią, czy smutkiem na twarzach. Co chwila jakaś wysłanka od głównego grona u komina przybiegała do nich z jakimiś nowinami i namową:

— Jadwiniu, pójdz-no, pójdz, nie bądź dziecinna, gdybyś wiedziała, co się Marysi ułalo za straszdyłło... ha ha ha!... pójdz, spróbuj i ty!

— Nie, nie pójde, i w to się nie wdam — z powagą odparła jedna z dwóch odosobnionych panien — Trzeba było, jak wam radziłam, poprosić Matki przełożonej o pozwolenie na tę zabawę, wtedy chętnie należałabym do niej.

— Ale Matka Przełożona nie pozwoliłaby!

— Jeżeli tego pewne jesteście, to nie powinnyście robić tego skrycie, bo to na jedno wynosi, jakgdybyście były nieposłuszne.

— Przecież wtem niema nic złego! Przecież to tylko zabawka!

— Nie obchodzi mię, co to jest, jeżeli wiem, że Matka przełożona wzbrania nam tego. I wy nie robilibyście nic przeciw woli przełożonej, gdyby nie ta swawolnica Jakacka; ona to do wszystkiego złego was podwodzi — Na ostatnie wyrazy, umyślnie głośniej przez Jadwigę wyrzeczzone, wyskoczyła z głównej gromadki od komina krępa, żwawa jak iskra brunetka i podbiegając do Jadwigi, wołała głośno, nie troszcząc się wcale o słuchaczy:

— Swawolnica Jakacka? Do wszystkiego złego podwodzi?... To dobrze, bardzo dobrze! Śto razy lepiej, niż gdyby Jakacka zadzierała noska, udawała sęsatkę, i nie chciała wdawać się z innemi, bo to jest nie po koleżeńsku!

— Przepraszam, dosyć robię dla koleżeństwa, gdy milczę i pozostaję w sali, patrząc na waszą swawolę: nie żądajcie więcej! — odparła Jadwiga.

— Jak ci się podoba, ty rozumna osobo, ale nie bróńże przynajmniej siostrze koleżeńskiej zabawy. Pójdz, Zośka, pójdz, ciekawam, co też się tobie uleje!

Zośka puściła ramię Jadwigi i rumieniąc się i blednąc, popatrzyła na nią:

— Tylko na chwileczkę.. Tylko spojrzę, jak one to robią!... — szepnęła błagalnie.

— Jak ci się spodoba.. ale pamiętaj, że cokolwiek robi się potajemnie przed starszymi, to dobrem być nie może! — stanowczo rzekła Jadwiga. Zośka zarumieniła się mocniej jeszcze, już wyciągała rękę, żeby napowrót wziąć siostrę pod ramię i pozostać przy niej, pomimo widocznej ochoty do zakazanej swawoli, gdy wtem swawolnica Jakacka pochwyciła wahającą się panienkę za drugą rękę i pociągnęła w podsko-

kach ku kominowi. Głośno i z powagą wyrzeczone ostatnie słowa Jadwigi zwróciły jednakże uwagę innych panien w tój chwili:

— Doprawdy, nie widzę w tem nic złego, ale skoro nie miałyśmy odwagi prosić o pozwolenie na tę zabawę i teraz się z nią kryjemy przed siostrą Petronelą, to lepiej tego nie robić! — powiedziała również głośno jedna i druga, i przyłączyły się do Jadwigi. Tymczasem Jakacka, rozpychając szeregi koleżanek, dotarła przebojem wraz z ciekawą a wzruszoną odstępstwem od siostry Zośką aż do samego kamina i postawiła tuż przed nią dużą miskę pełną wody, potem chwyciła bez ceremonii z rąk jednej panny dużą różgę, a z rąk drugiej patelnię, wołając:

brzmiał w tój chwili głos poważny i dzwiczny wśród ogólnego milczenia.

Teraz nikt nie krzyknął, bo panny zaniemówiły, jak skamieniałe: we drzwiach sali stała wysoka postać zakonnicy, przełożonej. Stała przez chwilę nieruchoma, potem wolnym krokiem przeszła salę i rzuciła okiem na komin, przy którym Kormanicka stała jeszcze z różgą i patelnią w ręku.

— Co tu robiłyście, dzieci?

— Lałyśmy wosk na wodę, bo dziś jest wigilia świętego Andrzeja — odpowiedziała cicho ta z dziewczeczek, na której zawisły oczy przełożonej.

— Która z was podała ten pomysł? — Nastąpiło długie milczenie, wśród którego można było słyszeć prawie gwałto-



W pracowni malarza.

— Dawajcie, dawajcie, teraz Kormanicka będzie wosk lała! — i potrzymawszy przez chwilę patelnię z woskiem na ogniu, podała ją następnie Zośce, mówiąc nauczycielskim tonem:

— Weź w jedną rękę patelnię, w drugą różgę, wyciągnij ręce nad tą wodą w misce i przez ten rozczepierzony koniec różgi wylej na wodę wosk... zobaczymy, co się uleje...

Wśród głuchego milczenia wzięła drżąca szesnastoletnia Zośka owe tajemniczych czarów narzędzia, gromadka panien wstrzymała oddech, i roztopiony wosk polał się przez różgę na wodę... Wszystkie głowy stłoczyły się nagle ku misie, chwilę trwało jeszcze milczenie, w czasie którego przypatrywano się dziwowi w misie; aż na raz okrzyk przerażenia rozległ się po sali:

— Różga!... różga najwyraźniejsza! Różga się Kormanickiej uląła!... — zawołały zdumione panienki... i zamilkły znowu pod wrażeniem.

— Różga... bywa znakiem gniewu Pańskiego!... — za-

wne bicie kilkudziesięciu serduszek wylekniionych; nareszcie Jakacka, zwolna, ociągając się, wyszła z gromadki i stanęła ze spuszczonei oczyma, jako winowajca przed zwierzchniczką. Ta potrząsa głową:

— Można się było tego domysleć — rzekła. Spojrzała jeszcze raz po całej sali, przystąpiła do siostry Petroneli, silną ręką zwolna zwróciła ją wraz z krzesłem do ognia, aby się grzała staruszka, poprawiła jej daszek nad choremi oczyma, potem postąpiła do najbliższej ławy dębowej rzeźbionej i siadłszy, znów okiem po otaczających powiedła:

— Dzieci — rzekła wreszcie — co wam jest? Czyliżby stało się tu jeszcze coś, czego ja nie wiem? Dla czego drżycie? Czyliż byłam kiedykolwiek za surową? Czy żadnej z was w czasie jej choroby lub zmartwienia nie umiałam nigdy ani na chwilę zastąpić matki rodzonej?

Istotnie, pomimo, że przełożona umyślnie dawała czas wychowankom do ochłonięcia z pierwszego wrażenia, wzruszenie to nie miało wcale, przeciwnie, jakiś niewytłómaczo-

ny przestrach zdawał się ogarniać coraz bardziej dziewczątka, spoglądały wzajem na siebie, a widząc się wylekniomeni bladły i drżały coraz bardziej:

— Tak się czegoś boję!... — szepnęła któraś z najmłodszych, i zaraz druga, i dziesiąta szepnęły. — Boję się!... — i wszystkie bać się zaczęły okropnie, same nie wiedząc czego. Dopiero ostatnie słowa przełożonej odkłęły ów dziwny czar przestrachu; któraś z panienek, doświadczwszy zapewne szczególnej troskliwości tej pani, która prawa swe do ufności delikatnie teraz dzieciom przypominała, wybuchnęła nagle płaczem, rzucając się przed nią na kolana. I wybuchł płacz ogólny. Dziewczątka na kolanach cisnęły się do przełożonej. Ona przytuliła do siebie co bliższe, i rzekła:

— Kormanicka, ty, którą dla potulności twojej zowią koleżanki „owieczką”, jako mającą w herbie „barana” powiedz mi wyraźnie, czy zaszło tu jeszcze cokolwiek, o czembyś nie wiedziała?

— Nic!... Wielebna matko! — stanowczo wyłkała Zośka.

— A zatem przestańcie płakać i posłuchajcie mię, dzieci — mówiła zakonnica — Topienie wosku i lanie go na wodę w wigilią św. Andrzeja jest dziecinną zabawką, której zapewneby wam nie wzbraniała, gdybyście o pozwolenie spytały i przypomniały mi, że zabawka ta jest we zwyczaju, bo o tem zapomniałam. Ale złym i bardzo złym postępkim jest wasza chęć tajenia się przedemną i zwodzenia siostry Petroneli; w tej złej chęci leży wina wasza i ona to niepokoi teraz wasze sumienie i przeraża was słusznie! Na całe wasze życie pamiętajcie, że obciążone winą sumienie jest srogim ciężarem!

— Och, srogim! — jęknęła ta i owa, a jedna dodała...

— Gdybyś nas ukarała, Matko wielebna, toby zaraz było lżej... — i zaraz zawołano:

— Ukarz nas, ukarz! prosimy! a my już nigdy nie uczynimy nic złego! — błagały wszystkie gorąco; pragnęły kary szczerze. Zakonnica popatrzyła na nie:

— Dzieci jesteście lekkomyślne i o krótkiej pamięci — rzekła — abyście pamiętały dłużej dzisiejsze zdarzenie... nie ukarzę was wcale!...

Wychowanki powstały z klęczek nagle jak jedna, zdawało się, jakby się czegoś znów przelękły. Przełożona nadstawiła ucha, ale prócz wycia wichru listopadowego i dalekich głosów puszczyka, nic zresztą słyhać nie było.

— Co wam jest, dziatki moje, czego drżycie? — spytała, gładząc tę i ową główkę, zaniepokojona naprawdę, tem bardziej, że nie mogła zrozumieć położenia. Nagle z gromadki wystąpiła mała Jakacka:

— Przewielebna matko, ukarz choć mnie, ja namówiłam, ja pierwsza wspomniałam o św. Andrzeju, bo nikt zresztą nie pamiętał o tem! — rzekła.

— Albo mnie!... bo to mnie przecież ułała się różga! — dodała młodsza Kormanicka

— Różga!... gniewu Pańskiego!... — szepnął jakiś drzący głosik z kącika i znów stało się, jakby wiatr grozy powiał po dziewczątkach, płacz znów się ozwał...

— Ach!... — szepnęła sama do siebie zakonnica, doświadczona, w sile wieku kobieta, zrozumiała nareszcie przyczynę strachu dziewczątek: było to, co dzisiaj nazwanoby wrażeniem *nerwowem*, wywołanem pierwszymi słowy przełożonej o „różdze gniewu Pańskiego”. Słowa te, wyrzeczone właśnie w chwili najwyższego podniecenia dziewczątek andrzejomówi czarami i ulaniem się „różgi”, przeraziły je do głębi duszyczek, wzburzonych już poprzednio okrutnie ową zdrożnością, jaką popełniały, obchodząc dziecinną zabawką wieczór św. Andrzeja *bez wiedzy zakonnice*.

— Pokażcie mi tę różgę, dzieci — rzekła przełożona — tę, która ułała się mojej „owieczce”... wyście ją tak żartem nazwały, a ja lubię to miano, bo jest ona istotnie łagodną, potulną i dobrą, jak owieczka.

W mgnieniu oka kilka par małych rączek przyniosło przed oczy zakonnicy misę dużą nie żartem, ciężką, bo grubą i niezgrabną, a w dodatku napełnioną po brzegi wodą: na wodzie pływało coś dziwnego.

— Postawcie tutaj — powiedziała przełożona, przyciągając przed się ciężki, niski, ale mocny stół, podobny do stołka, którym przed chwilą panny zastawiły siostrę Petronelę, postawiwszy na nim jej zwykle ziółka, aby nie łatwo jej ruszyć się przyszło. Cisza zaległa, nawet łkania ustały, gdy przełożona pochyliła się nad ogromną misą... Panny wstrzymały oddech.

— Istotnie, to jest bardzo podobne do różgi!... — powiedziała zakonnica z nieudanem zdziwieniem i zaledwo powstrzymując się od śmiechu — może być, że moja owieczka biedaczka tak jakoś przypadkiem wosk przez różgę wylała, że spadł on na wodę, zachowując kształty, do tejsze różgi zbliżone...

Spojrzała przełożona po wychowankach; była to uczona i myśląca Benedyktynka, nie wierzyła w gusa, a za to znała wiele tajemnic nauki, i przeto była dobrą i prostoduszną, i bolał ją ten przestrach dzieci, któremu też chciała koniec położyć, obracając rzecz całą w żart niewinny. Wychowanki spojrzały po sobie, i może byłyby przyjęły myśl przez nią podaną, gdy wtem znowu wystąpiła zalana łzami swawolnica, ale szczerą i gorącą Jakacką, mówiąc:

— Nie, wielebna matko!... to nie przypadek! Ja jestem całego kłopotu przyczyną, jeżeli nie ukarzesz mnie, różga gniewu Pańskiego spaść może na niewinnych!...

Przełożona zmarszczyła teraz brew czarną...

— Za samowolę twoję zasługujesz w istocie na karę — rzekła surowo lecz spokojnie — jednak ukarać nikogo nie mogę, ponieważ raz powiedziałam, że *nie* ukarzę...

Jeszcze nie dokończyła tych słów, gdy ozwał się gwałtowne dobijanie do bramy odległej, bo w pierwszych umieszczonej murach... wprawdzie dobijanie to trwało już czas niejaki, lecz grube mury, odległość, i wzruszenie ogólne nie pozwoliły go słyszeć aż teraz dopiero, gdy hałas i łoskot dobijających się przebrał wszelką miarę.

— Różga gniewu Pańskiego, Tatarzy! — krzyknęła Jakacka w rozpaczy, padając na kolana wpośrodku sali — zgubiłam was wszystkie!

Przełożona powstała z brwią zmarszczoną:

— Krnąbrny dzieciaku — rzekła — ukłękłaś, a więc módl się, prosząc Boga, aby ci cnotę posłuszeństwa udzielił, gdyż wiedz i pamiętaj, że ktokolwiek w młodości nie umie być posłusznym, ten nigdy w dojrzałym wieku rozkazywać i przewodzić nie będzie umiał; a jednak w każdym kraju i zawsze więcej jeszcze mądrych i roztropnych przywódców niżeli prostych szeregowców braknie. Wy, dzieci moje, pójďteż za mną!

Rozkazujący poraz pierwszy tego wieczoru głos przełożonej nie chybił celu. Paniutki strwożone lecz patrzące w nią, jak w tęczę, wyszły za nią do przyległej sali. Tu stanąwszy wśród coraz potężniejszego dobijania się do bramy, przełożona rzekła:

— Nie bójcie się, dziatki; jakkolwiek wróg umie podchodzić nas zdradnie, przecież ja, mając córki moje duchowne i was dziewczątka, powierzone mej pieczy, utrzymuję strażę tak liczną, tak baczną, kosztowną i odległą, że niepodobieństwem jest prostem, abym mogła być zaskoczona niespodzianie: w najgorszym popłochu, jeszcze pięć godzin czasu muszę mieć zawsze i mam swobodnych, przez które dam wiadomość o niebezpieczeństwie waszym ojcom i braciom. A więc zaręczam was słowem mojem, że hałas ten, który słyszycie, nie wróg sprawuje, lecz... — nie domówiła, dobijanie się ustało, a w chwilę potem weszła siostra służebna, oznajmiając nagłą i niezmiernie pilną posyłkę!...

— Wprowadź! — powiedziała przełożona, umyślnie w obec wychowanek, gdyż przedłużone ich wyleknienie zaczynało ją niepokoić już o ich zdrowie. Wszedł stary hajduk, a na jego widok obie Kormanickie poskoczyły ku niemu i wstrzymały się nagle, jak wryte spoglądając na przełożoną.

— Kormanicki, Zbożny kasztelan czechowski, przysyła mię po córki swoje, gdyż leży na śmiertelnem łożu... — zaczął gromkim głosem stary sługa.

Dwa krzyki przerażenia zagłuszyły go. Przełożona szybko ujęła w objęcia Jadwigę i Zośkę Kormanickie,

nieprzytomne z rozpacz. Nie było czasu do stracenia, umierający ojciec wzywał. W pięć minut niecałych dwie panienki w towarzystwie umyślnie do takich posług przeznaczone zakonnicy i pocztu całego sług własnych, pędziły już do rodzinnej wioski, o ile tylko dzielne tabuny rozpuszczone na złamanie karku wyskoczyć mogły. W cztery godziny później dwie siostry stanęły u łóżka otoczonego dalszą rodziną; matki, brata, dziada, babki, nie było już tam, tylko ten ojciec jedyny umierający. Wyglądał już jak nieżywy, a jednak na widok córek podniósł rękę i rzekł:

— Błogosławię was, córki moje!... a że wy dzieci jesteście i nie mam komu z rodziny pieczy nad wami zostawić, przeto, oto jest starosta brzeski Mielecki, temu ja oddaję ciebie, Jadwigo, w dozoną małżeńską opiekę, bo doświadczony on jest mój przyjaciel. A to jest Rzeszowski, taki sam druh mój wierny, któremu ja, twój ojciec, oddaję ciebie, Zośko, tak samo w opiekę i w dozoną małżeństwo. Taka jest wola moja, i z nią wraz dzielę między córki moje majątkość moją całą na dwie równe połowy.

Rzekł i skonał stary rycerz Zbożny Kormanicki, kasztelan czechowski. Zośka-owieczka, targana gwałtownym wzruszeniem, uległa mu nakoniec i nieprzytomna osunęła się u stóp łóżka ojcowskiego. Jadwiga klęczała, przyciskając usta do ojcowskiej ręki. W tydzień potem, po skończonych pogrzebowych obrzędach, panowie Mielecki i Rzeszowski w licznych pocztach sług odwieźli powierzone sobie sierotki na powrót do Staniątkowskiego klasztoru, a we trzy tygodnie później, z pośpiechem usprawiedliwionym gwałtownym i rzeczywiste teraz spodziewanym napadem Tatarów, odbyły się w klasztornej kaplicy dwa śluby obu Kormanickich, poczem natychmiast obaj rycerze ruszyli na Tatara.

Przez cały ten czas, mała Jakacka leżała chora, jedynie tylko w skutek przestachu, iż krnąbrnością swoją spowodowała nieszczęście na koleżanki; a cały klasztor brzmiał opowieścią tajemniczego wieczora św. Andrzeja, w czasie którego dziwna przepowiednia zawisła nad główkami dwóch biednych Kormanickich sierotek.

Jakacka pod wpływem serdecznych starań zakonnice zrozumiała z czasem, że wina jej zależała na nieposłuszeństwie jedynie i uspokoiła się w żalu swoim. Po dwóch latach tatarskiego tańca, wrócili przeciw panowie Mielecki i Rzeszowski, pierwszy ciężko ranny, do dom, i wzięli doń każdy małżonkę swą z klasztoru, w którym przez długie lata następnie brzmiała wśród wychowanic tradycja o niesforności dziewczęcej, tak dobitnie upamiętnionej w wigilją św. Andrzeja śmiercią ojca dwóch Kormanickich.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚBODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

XXVII.

Wyjazd z przeszkodami.

P. Katarzyna nie dowiedziała się wcale o poselstwie, pani Gudula ani wspomniała jej o tem, żeby się nie przestraszyła oświadczyń dzikiego człowieka, jak mówiła. Spodziewała się, że uciekniemy ztąd kiedyś przeciw i pozbędziemy się tego prześladowania. Pobyt w Timbaktu trwał już tak długo, że wszyscy wdychaliśmy do chwili wyjazdu. Przez sześć miesięcy zatrzymało nas oblężenie, następnie uroczystość zwycięstwa przeciągnęła się dwa tygodnie, nastąpiła potem długa pora deszczów, obecnie rozpoczęły się tak zwane „noce białe”, należało z nich korzystać, cóż, kiedy znów nieszczęśliwy wypadek wujaszka Baka stanął nam na przeszkodzie. Wszystko się na nas sprzysięgło.

Ale wujaszek przyszedł do zdrowia, odzyskał zupełnie siły, już nas nic nie zatrzymywało i mogliśmy nareszcie wyruszyć. 22 Kwietnia karawana nasza przekroczyła też samą bramę Kabaru, którą jedenaście miesięcy temu odbywaliśmy wjazd do Timbaktu. Karawana ta była teraz o wiele liczniejsza, przybyła nam spora gromadka towarzyszy. Najpierw pocziwy szejka Achmet chciał koniecznie nas odprowadzić aż do prawego brzegu Nigru, Auab ze swoimi Tademeketami także podjął się z własnej ochoty pilnować nas potoy, póki się nie wydostaniemy z lewego wybrzeża, które uważano za niebezpieczne. Widziano tam bowiem snujące się bandy rozmaitych włóczęgów, po większej części maruderów nieprzyjacielskiego wojska. Edgar Voost, jak wspominałem, miał nam towarzyszyć do portu, Henryk aż do Europy.

Pusta i dzika okolica, ciągnąca się od Timbaktu do Kabary, zarosła jest tylko gdzieniegdzie niskimi, ciernistymi krzakami. Zeschłe grunta mają odcień żółtawy, pokryte są pagórkami, pośród których płasają małe zwierzęta z rodzaju skoczków; Herodot uważał je za stworzenia dwunożne, gdyż przednie ich nogi są daleko krótsze od tylnych, skaczą na nich nakształt kangurów.

Przebywając te piaszczyste obszary, mieliśmy sposobność przekonać się o istnieniu szczególnego zjawiska przyrody, znanego nam dotychczas z opisów jedynie, kiedykolwiek słyszeliśmy po drodze dziwne odgłosy, jakby małej dziecinnej piszczałki. Dźwięki te za każdym razem trwały bardzo krótko, kilka sekund zaledwie, przewodnicy nasi nazywali to „śpiewem piasku”. Wydmy piaszczyste, pod wpływem rozgrzania, wydają owe dziwne dźwięki. Tak niegdyś śpiewał słynny posąg Memnona w Egipcie. Sprawia to wrażenie nieopisane, dla osób nerwowych niezbyt przyjemne. Nasze panie na szczęście nie należały do takich.

Wieczorem tegoż samego dnia przybyliśmy do Kabary, zwaną zwykle portem miasta Timbaktu. Kabara leży na spadzistości dużego wzgórza, zaokrąglonego w kształcie dzwonu. Miasteczko to liczy 2,000 mieszkańców, którzy się mieszczą po części w domach murowanych, a po części w małych chatkach skleconych z trzciny i sitowia. Są tu dwa place targowe, jeden ma tylko jatki mięsne, drugi sklepy z rozmaitemi towarami. Kabara prowadzi znaczny handel bydłem, w okolicach uprawiają ryż, pasteki, banany; wyrabiają tam z wodorostów rzeki Nigru napój fermentowany, do miodu nieco podobny, ceniony wysoko w Sudanie.

Przystań, znajdująca się u stóp wzgórza, ma kształt zaokrąglony i tak regularny, że wygląda zupełnie na utwor ręki ludzkiej, tymczasem jest dziełem przyrody. Za czasów największej świetności państwa Sonraisów, flota wojskowa stała tu ciągle pod rozkazami wielkiego admirała miasta Timbaktu.

Noc zapadała, roje niezliczone mustyków zaczęły nam brzęczeć nad uszami. Niema dla podróżnika, straszniejszej męczarni, jak stać się pastwą tych drobnych lecz krwiożerczych stworzeń. Uchronić się od nich jest niepodobiestwem, zasłony z tkanin najgęstszych na nic się przydać nie mogą, bo owad się przez nie przeciska; tylko klosze druciane, używane po restauracjach dla zabezpieczenia cukrów i owoców od much, powstrzymują mustyki, należałoby maski podobne zabierać z sobą w podróż, myśmy ich na nieszczęście nie mieli. Nie było więc innego środka ratunku, tylko całą noc przesiedzieć, opędzając się wachlarzami. Tak też uczyniliśmy wszyscy, oprócz Karola i jednego z przewodników.

Noc była długa. Gdy Karol przebudził się o świcie, miał twarz tak straszliwie opuchniętą, że jak potwór wyglądał. Z przewodnikiem było gorzej, człowiek ten zasnął napół nagi i całe ciało mu spuchło okropnie, o mało nie skonał, ledwo go odratowałem. Mieliśmy więc przed sobą rzekę Niger. Źródła jej, jak wiadomo, wytryskują u stóp góry Loma, całą długość rzeki, od źródeł do ujścia, obliczają na 2,400 kilometrów. Pod Kabarą ma szerokość taką, jak Sekwana pod Paryżem, wody jej są mętne, gęsto porośnięte rozmaitemi roślinami wodnymi. Ogromne grzybienie, zwłaszcza wspaniałe lotusy, prawdziwe lasy tworzą. I na wy-

brzeżach roślinność niemniej jest bujna i rozkoszna; rozpoznaliśmy pomiędzy drzewami: tamaryszki, czułki, palmy, banany, a nawet ozdobne melonowce, *carica papaya*, których owoce smakiem przypominają melony.

Wszystkie te drzewa pokryte były szarańczą, a przez noc całą chmury nietoperzy krążyły przy nich, gdyż zwierzątka te pożerają chciwie szarańczę. Świat zwierzęcy nad Nigrem występuje w ofiowości, niewidzianej w innych częściach Afryki, chociaż łąd ten w ogóle bogactwem fauny się odznacza. Na każdym niemal kroku napotyka się stada niezmiernie bawołów lub słoni; żółwie ziemne snują się gromadami, to znów pełzają kłębami gąsiennice czarne lub czerwone. Ponad głową podróżnika przeciąga w powietrzu moc ptactwa, przeraźliwe wydając krzyki i wrzaski. Bociany, ibysy, żorawie i inne brodzące, większość stanowią pośród tej skrzydlatej rzeszy.

Żegluga na Nigrze pozostaje dotąd w stanie pierwotnym. Żelaza tu nie używają przy urządzaniu statków, drzewo bywa spajane pomiędzy sobą włóknami roślinnymi, a szpary zatykane słomą ryżową, maczaną w glinie. Statki te, nadzwyczaj wątle, podobniejsze są do tratw aniżeli do łodzi. Jeżeli nie mogą być holowane, co jest najdogodniejsze, kierowane są za pomocą wiosel, lecz bez żagli, chociaż dochodzą znacznych rozmiarów. Załoga składa się zwykle z kilkunastu ludzi, nie licząc kapitana i dwóch sterników. Nieraz napotkać można płynące po Nigrze flotylle złożone z kilkudziesięciu podobnych statków, płaskich, obszernych, naładowanych rozmaitemi towarami: ryżem, prosem, cebulą, pistacyami, orzechami kola, masłem drzewnym i t. p.

Przeprawa przez rzekę z jednego brzegu na drugi odbywa się w sposób odmienny i osobliwszy. Pasażerowie sadowią się w głębi pękatej beczułki; jest to po prostu olbrzymich rozmiarów tykwa, dla bezpieczeństwa przytwierdzona dnem do deski drewnianej. Krajowcy nazywają ten dziwny skatek „buksa”, mieści się w nim zazwyczaj dwie osoby. Czasem znów buksy zczepiają się rzędem po kilka, a wówczas przewożą niemi nawet i ciężary. Połączenie kilku buks nosi nazwę „makara”.

I nas także wraz z pakunkami przeprawiła przez rzekę makara podobna. Przewoźnicy popychali ją dużemi wiosłami, śpiewając przytem pieśni jakieś dziwaczne, a jednak dość w swoim rodzaju dźwięczne. Były to, jakeśmy się dowiedzieli od szejka, pieśni bohaterskie, sławiące czyny wielkiego sułtana Askii. Tak przewoźnicy na gondolach weneckich śpiewają utwory Tassa i Ariosta.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(Od Heliotropa dla Pegaza Skrzydlatego).

chaś — o — ka — ktró — le — li — mo — ni — sieć — stor — twed
— u — za — znoj —

Z pierwszego rybak zyski ma niemałe,
Drugie to imię mężkie lecz zdrobniałe,
Trzecie wysepka, kędy Odra ginie,
Czwarte to rzeka, która w Szkocyi płynie,
A piąte czynność elektro-chemiczna,
Szóste zaś postać jest mitologiczna.
Z tych głoski skrajne, wprost i wstecz czytane,
Dają uczucia w życiu dobrze znane.

ZAGADKA.

(Dla Al-Chemika od Nieznajomego).

Mój Al-Chemiku, powiedz mi przecie,
Ile jest liter w alfabecie?

Łamigłówka kryształowa.

(Od Złotej Rusałki dla Gołąbki pocztowej).

1. Spółgłoska.
2. Stworzenie żyjące w wodzie.
3. Przedmiot do gry używany.
4. Część wojska.
5.
6. Narzędzie rolnicze.
7. Schowek na pieniądze.
8. Rzeka w Europie.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko słynnego hetmana.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

Zadania konikowego:

Piękne święta Wielkiejnocy
Na to nam są dane,
By przypomnieć Bożej mocy
Cuda niezbadane.
Smutek w radość, śmierć w wesele,
Pan Bóg dziś obrócił,
Więc ten grzeszy bardzo wiele,
Ktoby się dziś smucił,
Bo te święta leczą, koją.

Łamigłówki zgłoskowej:

RydZ — OdynieC — MissisipI — AugustóW — NerO —
ZeniT — MaderA — OgaR — RomualD — SaN — KarO —
IrkucK.

Roman Zmorski — Kondratowicz.

Rozwiązanie rebusa do N-ru 41.

Bogactwa bez pieniędzy często szczęścia nie przynoszą.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne, (z drzew.). — Słabe ptaszę, wiersz p. Maryę Pomorską. — Czarownik moguncki, dokończenie —
W pracowni malarza, (z drzew. — Zbiór legend i podań dawnych, p. M. Zielińską. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników
w Afryce środkowej (c. d.). — Łamigłówki, rozwiązania. **Dodatek:** Wańdzia wierszyk p. Z. Morawską, (z drzew.). — Rubikon
p. M. Ziel. — Chłopiec w niebieskich okularach, naśladowała z francuzkiego J. dokończenie. — Łamigłówka i rozwiązanie. —
Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.



WANDZIA.

Wandzia włożyła salopkę nową,

Okładaną futerką, a całą pluszową.

Prócz tego kapelusik z dwoma pomponami

Ocieniał jój twarzyczkę wielkimi skrzydłami,

Pyszna ze swego stroju, poszła do ogrodu,

By się bawić obręczą. Doznała zawodu.

Bo kiedy inne dzieci biegały jak strzała,

Wandzi zbyt wielka obręcz biegać przeszkadzała.

Przeszkadzał też kapelusz i futro kosztowne.

Poznała więc odrazu, że to nie stosowne

Brać zabawki zbyt wielkie, pysznić się ze stroju;

Smutna więc powróciła wkrótce do pokoju.

I już nigdy się potem strojem nie pyszniła

Lecz milutką dziewczynką i rozkoszną była.

Z. Morawska.

RUBIKON.

— No, mój Franusiu, teraz, kiedyśmy już przebyli Rubikon, powiedz mi, co też ty zamyślasz począć z sobą, gdy obaj szkoły skończymy?

Tak zapytał Kazio krewniaczka swego, rozsiadłszy się w dziadzi fotelu, zakładając nogę na nogę, jak robią ludzie dorośli, i czuprynę podczesując palcami. Franio spojrzął na niego zdziwiony:

— Co zamyślam, jak skończymy szkoły? — powtórzył. — A kiedyśmy dzisiaj dopiero egzamin do pierwszej klasy zdawali?... cóż tu mówić o skończeniu klas.

— Masz tobie — wzruszając ramionami odparł Kazio. — To też dlatego właśnie żeśmy już rozpoczęli, a przecież początek jest najtrudniejszy, dla tego żeśmy

przebyli Rubikon, możemy naradzić się nad tem, co zrobić nam wypadnie, gdy skończymy szkoły.

— Co to za Rubikon? — pytał znowu Franuś. Kazio machnął na to ręką niecierpliwie:

— Ej, mój kochany — rzekł — że też z tobą rozsądnie pomówić nie można, chociaż już jesteś pierwszoklasistą; pytasz i pytasz o lada co, jak jakie dziecko. Rubikon? Czy ja wiem, co to jest Rubikon! Słyszałem, że tak mówią ludzie, gdy co ważnego im się dokonać uda, więc i ja tak mówię; ktoby mi tam kazał dowiadywać się zaraz, co tam każdy wyraz znaczy.

Ale Franuś na te słowa zdziwił się jeszcze bardziej:

— Jakto, więc mówisz, i nie wiesz, co mówisz? — powtarzał, szeroko roztwierając oczy. — Jak to może być, żebyś wcale nie był ciekawy dowiedzieć się tego! A przecież tatka powiada, że tylko sroki, papugi, i ludzie bezmyślni powtarzają to, czego nie rozumieją.

Chociaż powolny i wiecznie o wszystko pytający Franio mówił to szczerze, bez zamiaru dokuczenia krewniaczkowi, przecież Kazio zaczerwienił się ze wstydu i już miał coś żwawo odpowiedzieć, zrywając się z fotelu, i ważna narada byłaby się może sprzeczką skończyła, gdy wtem Tomek, który właśnie w piecu palił tymczasem, ozwał się niespodzianie, bo nikt na niego nie zważał:

— Rubikon, niegdyś tak zwany, dzisiaj zwie się Picatello; jest to mała rzeczka w wyższych Włoszech, która niegdyś w czasach starożytnych stanowiła granicę pomiędzy Galią Cyzalpińską a Italią. Ten starożytny Rubikon wślawionym został przez wielkiego wojownika i wodza rzymskiego, Cezara, który po długim namyśle przeszedłszy z bronią w rękę tę granicę swój ojczyzny, dał przeto hasło do wojny domowej. Dlatego to dzisiaj ludzie, chcąc wyrazić, że ktoś uczynił krok stanowczy i niecofniony, powiadają, że „przeszedł Rubikon”.

Tyle powiedziawszy, Tomek, który jednocześnie napalił już w piecu, zabrał się teraz do zamiatania przed tymże piecem śladów węgla i popiołu.

— To tak było?... a zkadże ty wiesz o tem, Tomku? Któż ci powiedział? — spytał Franio.

— Kto mu miał powiedzieć; pewno przypadkiem znalazł to w którejś z tych książek, co to je na gwiazdkę dostał i zawsze w nich ślęczy; znalazł o tem wzmiankę przypadkiem, to i wie — objaśnił Kazio — i jabym z czasem dowiedział się także, jakbym to w książce znalazł.

Ale Franuś potrząsnął na to głową i powiedział:

— Ale, ale... już ja tam ręczę, że Tomek dobrze się kogoś wypytał; prawda, Tomek?

— Nie, proszę paniczów — odparł Tomek — nie pytałem nigdy nikogo, bo nie wiem kogobym miał pytać i nie znalazłem w swoich książkach, które na gwiazdkę od pani i pana dostałem, bo tam o innych wcale rzeczach jest wydrukowano. Ale słyszałem, jak panicz Kazio czytał o tem głośno już kilka razy ze swojej téj dużej książki, w płótno oprawnej, i słyszałem także, jak panicz Franuś pytał o toż samo kilka razy pana, i pani,

i nauczyciela, a każdy mu jednakowo odpowiedział; więc wbiło mi się to w pamięć i ztąd wiem, co to znaczy „przejsć Rubikon”.

Tak odpowiedziawszy chłopczykowi, mały ich rówieśnik Tomek, chłopak do usług, zabrał się ze swoją szcztoką ręczną i blachą od śmieci i wyszedł z pokoju, skończywszy robotę koło pieca. A wtem ozwał się starszek nauczyciel, który chłopczyków do szkół przygotował, a teraz niepostrzeżony siedział tuż obok w drugim pokoju:

— Dzieci, zanim uradzicie, co przedsięwziąć po ukończeniu szkół, w których macie dopiero rozpocząć naukę, zapamiętajcie tę małą nauczkę, jaką dał wam dzisiaj mimo własnej wiedzy chłopak z kredensu, gdy pokazało się, że wie on to, czego wy nie wiecie, chociaż nie jego lecz was tego uczono. A to dlatego, że gdy Franio, zwyczajem wielu dzieci, o wszystko bezustannie pyta — odpowiedź puszczając mimo uszu, a Kazio dużo rozprawa, czyta i uczy się bez zastanowienia, i przeto nie wiele rozumie sam z tego, co mówi... tymczasem Tomek *milczy, słucha, i uważa*. Zapiszcie sobie te trzy wyrazy kredą na czarnej tablicy, moi chłopcyki kochani, i odczytujcie je co rano, idąc do szkoły, a zaręczam was, że jeżeli tylko przez cały czas pobytu w szkołach będziecie je pamiętali, jeżeli milczeć, słuchać i uważać będziecie, ucząc się przytem oczywiście, to po skończeniu nauk nie będziecie mieli powodu troskać się o dalszą waszą przyszłość, o którą przedwcześnie dzisiaj już Kazio kłopotać się zaczyna.

M. Ziel.

CHŁOPIEC W NIEBIESKICH OKULARACH,

naśladowała z francuzkiego J.

(Dokończenie).

— Ależ to nic trudnego — myślała dalej Helenka — on mnie tak kocha, wszystko zrobi dla mnie; wprawdzie nie pochwali tego nagannego uczynku; może lepiej dać pokój?

Pokusa jednak zwyciężyła wszelkie jój skrupuły.

— Kochasz mnie bardzo, braciszku, gotów jesteś zadowolnić każde moje życzenie, nieprawdaż? — szepnęła, przymilając się do Tadzia, który odpowiedział pocałunkiem, złożonym na różowym jój policzku. — No powiedz, chcesz? — mówiła dalej Helenka.

— Czego żądasz, cóż mam zrobić? — zapytał.

— Chodź ze mną, zobaczysz — a schwyciwszy go za rękę, wciągnęła do przedpokoju, pokazując mu z tryumfem pakiety.

— No więc cóż mamy robić z temi paczkami? — zapytał.

— Jakto, nie rozumiesz? — zawołała dziewczynka — czyż nie wiesz, że to jutro moje urodziny?

— Ach, ty mała filutko, nie można więc nic ukryć przed tobą? Serdecznie cieszyć się będziemy jutro, gdy zobaczymy, co jest w tych paczkach.

— Ja nie chcę czekać tak długo, Tadziu, ja chcę dziś widzieć, zaraz, koniecznie zaraz — mówiąc to, Helenka w rączki klasnęła.

— Nie, siostrzyczko, to być nie może, nieładnie byłoby przeglądać paczki, nie należące jeszcze do ciebie a zresztą, pozabawiłabyś babcię przyjemności, jaką sobie obiecuje na myśl zrobienia ci niespodzianki.

— Ależ ja chcę widzieć, spać nie będę w nocy, za choruję i będzie ładnie, gdy w dzień swych urodzin z łóżka nie wstanę.

— Mów co chcesz, siostrzyczko, ale ja ci nie pozwolę tego zrobić — rzekł Tadzio, biorąc w objęcia dziewczynkę i pociągając ją zlekka ku drzwiom salonu.

— Jeżeli tak, to dobrze, mój panie, nie potrzebuję twój pomocy, skoro mnie nie kochasz i jesteś taki niedobry — z gniewem wołała Helenka.

— Siostrzyczko, nie mów takich rzeczy, to nie do brze — mówił Tadzio.

— Owszem, dobrze — odpowiedziała — gdyby miał serce, tobyś spełnił moją prośbę.

— Zapewne, gdyby prośba ta rozsądną była; zastanów się i nie bądź dzieckiem, siostrzyczko, przespana noc taka krótka!

— Tak, przespana, ale ja spać nie będę — woła uparta dziewczynka.

— Ale będziesz, grzeczne dzieci zawsze śpią spokojnie, no, na ciebie kolej, kto mnie kocha, pójdzie z mną — rzekł wesoło Tadeusz, otwierając drzwi do sieni jadalnej w przypuszczeniu, że siostra za nim pójdzie. Zresztą czuł się zupełnie spokojnym, wiedział, że babcia Helenka nie potrafi dostać się do półki, bo jest z mała, lecz nie wiedział, czego dokazać może ciekawo dziewczynki podniecona próżnością.

Helenka, pozostawszy samą, zadumała się i, jak się później okazało, w głowie jój powstał śmiały pomysł wykonania swych zamiarów bez pomocy Tadzia, który oparł się w mniemaniu, iż zaniechała swój myśli. Korzystając z tego, przebiegła dziewczynka, gdy w domu wszyscy byli zajęci, zabrała się do dzieła. Babcia drżąc przy kominku, służący sprzątały po obiedzie, brat jój uczył się w jadalnej sali przy lampie. Helenka wzięła świecę, pozostawioną na stole, wsunęła się do przedpokoju, zaczęła ustawiać krzesła, taborety, poduszki jedno po drugim, próbując wejść na wierzch tej ruchomej piramidy. Nęciła ją wprawdzie największa z paczek, lecz przy widywała, iż ciężar ten będzie nad jój siły, skierowała więc swe usiłowania ku najmniejszej, sądząc, że zawartość jój objaśni, co mogą zawierać inne paczki. Wspięła się więc po zaimprovizowanej drabinie, wyciąga rączkę, lecz do półki sięga tylko końcami palców; potrzeba jej matką wynalazków, mała ciekawska przypomina sobie o lasce, stojącej w kącie pokoju, schodzi, przynosi ją i teraz nowo zabiera się do dzieła. Tym razem jest szczęśliwszą; skutek wieńczy jój usiłowania, paczka, poruszona kijem, usuwa się, chwieje i niestety! spada z impetem tłukąc się w tysiącne kawałki, przez co Helenka otrzymała nie tylko prześliczny upominek, lecz i możliwość przełknięcia się, jak wyglądała.

Prerażone i pomieszane dziecko, w obawie przed gniewem babki, schodząc postawiło nóżkę obok palącej

się na stole świecy; w jednej chwili płomień ogarnął lekką jej sukienkę! Hałas spowodowany spadnięciem paczki i krzyk Helenki tak szybko nastąpiły po sobie, że w jednym czasie usłyszane były przez Tadzia, oddzielonego od siostry drzwiami sali jadalnej. Biedny chłopiec natychmiast znalazł się przy siostrze, odgadł wszystko i zdołał ugasić rękami palącą się sukienkę. Jednocześnie domownicy zwabieni krzykiem i hałasem, pochodzącym z przedpokoju, przybiegli w pomoc Helenie. Przekonawszy się jednak, że nic jej nie grozi, zwrócili się do Tadzia, spodziewając się objaśnień z ust jego, lecz go w pokoju nie było; rzucili się wtedy na poszukiwanie, wreszcie stara służąca babki Anna, znalazła chłopczyka w kuchni, gdzie sobie wodą oczy przemywał.

— Co ci jest, kochanku — zawołała z trwogą.

— Nie wiem doprawdy — odpowiedział Tadeusz — wszystko mi się wydaje czerwone.

— Mój Boże, musiałeś sobie coś zrobić, cierpiż bardzo?

— O bardzo — odrzekł biedny chłopiec, pokazując rączki pokryte bąblami i usiłując powstrzymać łzy, gwałtem cisnące mu się do oczu.

— Drogie dziecko — wykrzyknęła oburzona Anna — tak strasznie poparzyłeś się, ratując siostrę, a nawet nikt się tobą nie zajmie. — To mówiąc, poczciwa kobieta zanosła chłopca do sali jadalnej, gdzie niebawem wszyscy go otoczyli. Helenka rzuciła się ku niemu szlochając, on zaś starał się ją pocieszyć.

— Uspokój się, siostrzyczko — mówił — to nic, zgoi się, lekarz niewątpliwie mnie wyleczy.

Ręce rzeczywiście wkrótce się wygoiły, lecz biedny chłopiec przeszedł długie i bolesne zapalenie oczu z powodu silnego oparzenia, miewał gorączkę, wtedy rzucał się i opowiadał z przerażeniem szczegóły wypadku, którego był świadkiem i niewinną ofiarą. To bezładne majaczenie nieprzytomnego Tadzia doprowadzało Helenkę do rozpacz, zrozumiała nieszczęsna zapóźno, jak źle postąpiła i starała się całą siłą nieść ulgę bratu w cierpieniach, których była przyczyną. Żadna też dozorczyni chorych nie przeszłaby Helenki w troskliwości; wchodziła ostrożnie na stołeczek, okrywała z niezmierną czułością i delikatnością chore oczy swego braciszka. Wynajdowała różne zabawy dla rozweselenia go, zapominała o lalkach, by mu objaśniać obrazki, których widzieć nie mógł.

Tak przeszło lato i zima, w końcu której zaczął Tadeusz odróżniać niewyraźnie przedmioty. Pierwszą zaś osobą, którą poznał, była siostrzyczka. Spojrzał na nią z uśmiechem i wdzięcznością, dziękując za czułą opiekę w czasie choroby. Żebyście państwo mogli widzieć niewypowiedziane szczęście tych dzieci, gdy pierwszy raz Tadeusz zawołał:

— Helenko, ja cię widzę, masz niebieską sukienkę, wszak prawda?

— Tak, tak! skacząc z radości powtarzała Helenka — nie pozostaniesz więc niewidomym, Tadzium, będziesz mógł chodzić ze mną na przechadzki, i oboje rzucili się sobie w objęcia, szukając w tym wzajemnym uścisku zapomnienia nieszczęść i bólów, jakie przejść im przyszło. Odtąd przychodził chłopczyk szybko do zdrowia, na

szczęście odzyskał dobry wzrok, pozostało mu tylko niezmiernie osłabienie oczu, z powodu którego nie mógł znosić silnego słonecznego światła. Doktor upewniał, że to osłabienie usuniętem być może przy wytrwałem i troskliwem oszczędzaniu wzroku i kazał mu nosić te brzydkie niebieskie okulary, które tak bardzo rozsmieszyły was, moje dzieci. Któż z was będzie teraz śmiało wyszydząć małego Tadzia? Czyż raczej nie powinnyście go uwielbiać i ubiegać się o przyjaźń jego?

Dobre w gruncie dzieci pojęły wtedy ze wstydem niewłaściwość swego postępków, i chcąc przeprosić Tadzia, rzuciły mu się na szyję, a on czuł się szczęśliwym i rozczulonym. Po chwili Paulinka, Edward, Eliza, Tadeusz i Helenka w najlepszym humorze zabawiali się w cztery kąty tak swobodnie, jakby ich znajomość dawnych czasów sięgała. Podczas gry, mała Eliza czekając na swoją kolej, zbliżyła się do babuni, siedzącej ciągle przy jej matce, i zapytała półgłosem:

— A Helenka, czy się poprawiła?

— Naturalnie — odrzekła staruszka — skorzystała z surowej nauki, jaką jej dał pan Bóg; nie tylko zapomniała o próżności i ciekawości, lecz straciła także skłonność do samolubstwa; oddała się całkowicie na usługi bratu, a wzajemne przywiązanie tego rodzeństwa stanowi całe ich szczęście; Tadzio mówi często, spoglądając z miłością na siostrę:

— Helenko, ty jesteś naprawdę aniołem, któremu powierzyła mnie nasza matka!

— Więc opowiadanie skończone — zauważyła Eliza.

— Tak, dziecko moje — odparła pani B. — czegoś byś więcej chciała?

— Chciałabym bardzo wiedzieć — rzekła cicho, pochylając się do ucha staruszki Eliza — co zawierały paczki przeznaczone dla Helenki?..

Jakże wam się zdaje, dzieci, czy Eliza nie będzie także potrzebowała jakiejś nauczki?

LAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA (Wielki Wąz).

Z następujących zgłosek: a—cki—dye—e—gi—gł—i—in—ka—kra—li—ł—noń—ra—rzęł—sęrb—si—szk—ów—wę—więz—za—ze — ułożyć wyrazy: 1. Człowiek małego wzrostu. 2. Miasto w Poznańskim. 3. Imię żeńskie. 4. Miasto w gub. Witebskiej. 5. Imię męskie. 6. Imię męskie. 7. Minerale. 8. Mieszkaniec Słowiańszczyzny południowej. 9. Poeta dawniejszy. 10. Kraj w Azji. Pierwsze litery od góry do dołu utworzą nazwisko powieściopisarza, końcowe w tym samym kierunku tytuł jego powieści.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 46-go.

Szarady:

Ba — sza.

Skrzynka do listów.

Sarneczka z nad Sanu zapewne pocztą wysłała robotę i na komorze ugrzęzła. Już wyjaśniliśmy te trudności, na które nic rzucić nie możemy, gdyż kosztą cła zwykle wartość przesyłki przewyższają.

Niezapominajkę z nad Warty za słowo trzymamy i wyglądamy częstych i długich liścików.

Wisience z nad Sobu Gołąbka odpowie obszerniej, tymczasem uściski tysięcy jej zasyla. Jak to nauka w las nie poszła! Teraz Wisienka aż dwa razy wypisała wszystko co trzeba przy wypracowaniu.

Gospościa z nad Warty ma duszyczkę poetyczną, a co więcej złote serduszko. Marzenie zapisane w liściku wycisnęło łyżę wdzięczności z oczu tej, która gorąco pragnie zasłużyć na nazwę, daną jej przez kochaną Gospość.

Trawka z nad Konika trafnie odgadła nazwisko Kanarka. Żeby tej ptaszyny nie przestraszyć, nie pokażemy mu kotka na liściku.

Polka Mazurka zapewne nie odebrała „Wieczorów”, leżących na poczcie, bo według żądania „poste restante” były wysyłane. Teraz je wysłano powtórnie.

Nadzieja niesłusznie narzeka na swoją kaligrafię, bo porządnie i wyraźnie pisze. Sokołowi przyjazne ukłony przesyłamy.

Lewkonią oddawna już za stałą korespondentkę uważamy; niema przytem żadnych szczególnych warunków, oprócz pisania takich liścików.

Wodę źródlaną bardzo chętnie zaliczamy do grona kochanych naszych korespondentek, a Gołąbka pocztowa jej przyjaźń swoją ofiaruje.

Jedlinka nie rozumiała dobrze Gołąbki, bo ona wcale nie ją miała na myśli, pisząc o wypracowaniach *podjezanych*. W liście swym zresztą Gołąbka tę sprawę wyjaśniła dokładnie, według przekonania redakcyi.

Jaskółka bardzo nas zaciekawiła, ale może w następnym liściku wykryje tajemnicę. Wymienionych czytelników niema pomiędzy korespondentami naszymi.

Jedynaczka zawsze nam przyjemność sprawia miłymi liścikami, ale jeżeli praca jej w tem staje na przeszkodzie, gniewać się nie możemy.

Amazonkę podlaską pochwalić tylko można za to, że się zbyt wczesnie nie rwie do druku. Nikt jeszcze nie żałował, cierpliwie czekając z tem pory właściwej, a zawczesne pokusy dużo szkody przynieść mogą.

Droga Stokrotko z nad Stochodu! Podobałaś mi się bardzo, więc piszę do ciebie, zapytując, czy należysz do konkursu i czy wolisz czytać Wieczory, bo ja bardzo. Napisz mi, jak ci na imię i gdzie mieszkasz, i gdzie się uczysz, w domu czy na pensyi. Odpisz prędko Radziwiance.

Kochana Mołodyco Ukrainka! Od dawna chciałam korespondować z tobą przez „Wieczory”, lecz nie wiedziałam, czy mogłabyś mi odpisywać. Wielkopolanka na Mazowszu zapewniła mnie jednak, że się czasami odzywasz, to może i na mnie łaskawą będziesz. Czy macie często wiadomości z Pragi, zadziwił się, że będąc tak starą, należę jeszcze do korespondentek, łatwo zgadniesz, kim jestem, gdy sobie piątą liczbę pensjonatu przypomnisz. Ściskam ciebie, moja Mołodyco i imienniczko kochana, a Julcię całuję serdecznie. Niezabudka Czeska.

Perpetuum mobile! Dziękuję ci za zagadkę, ofiarując wzajemianą moją. Mieszkam w Warszawie, imię me Alfred, mam lat 14-ście skończonych. Poszukiwacz Al-chemik.

Drogi moje Praco i Jerzynko z Drewnicy! Dziękuję ci, Praco, za serdeczne pozdrowienie i proszę cię, moja kochana, na-

pisz do mnie. A ciebie, Jerzynko droga, przepraszam, że skutkiem mojej nieuwagi nie odpisałam ci na list, choć nie był drukowany cały, ale na który odpisuję ci, prosząc o odpowiedź na znak przebaczenia. Całuję was obie i prosi raz jeszcze o odpowiedź kochająca was Nadzieja.

Świteziance, Cyganeczce z nad Wisły, Bławatce z nad Horynia, Topolce srebrnej i Brzydotce z nad Tamizy przesyła serdeczne pozdrowienie Nadzieja.

Droga Ciemnowłosa Dzieweczko! Bardzo się ucieszyłam twoim liścikiem i muszę ci donieść, że zaszła jakaś mała między nami pomyłka. Musisz bowiem wiedzieć, że już mam lat 14 skończonych a inna jakaś Jedynaczka 12 lat liczyć musi. To jednak nie przeszkadza, moja Dzieweczko, w korespondencyi i oczekując jaknajprędzej słów kilku od ciebie zostaje, twa życzliwa Jedynaczka.

Droga Konwalijko Różowa! Piszę do ciebie, gdyż bardzo mi się podoba twój pseudonym, a Konwalia jest moim ulubionym kwiatem. Jestem o rok starszą od ciebie, noszę imię córki Krakusa, mam 4 siostry, ja jestem najstarszą, mieszkam w Galicyi. Czy grasz na fortepianie? i czy lubisz muzykę? bo ja bardzo. Napisz mi co o sobie; odpowiedz mi, droga Konwalijko Różowa, a będę ci nieskończenie wdzięczną, gdyż jakoś nie mam szczęścia do korespondentek „Wieczorów”, że żadna do mnie nigdy nie napisze. Kochająca cię choć nieznajoma przyjaciółka Lewkonია.

Kochany Kanarku! Długo myślałam, kto jesteś? zdaje mi się, że odgadłam i znam cię z fotografii — masz dwóch braciszków, jeden od wakacyj chodzi do szkół w Warszawie: mieszka na „Wspólny”, nazywa się Zdzisł, a młodszy Janek, masz także siostrę Lilę a sama nazywasz się Zosia? Dziękuję bardzo za łami-główkę, którą odgadłam i posyłam ci wzajem inną, chciałabym aby ją prędko wydrukowali. Kochająca was, Trawka z nad Konika.

Droga Felciu W.! Piszę do ciebie, gdyż także prenumerujesz „Wieczory”, a chociaż nie piszesz liścików dla braku odwagi, mam nadzieję, iż przeczytawszy mój, i obrawszy sobie pseudonym, zaraz mi odpiszesz przez nasze ukochane „Wieczory”. Czy braciszek twój zdrowszy? zmartwiłam się bardzo jego chorobą. Zosia D. dawno była u ciebie? Czy znów uczęszczać będziesz na pensyą panny D.? Mamie rączki ucałuj odemnie. Kończę mój liścik, a ty łam sobie teraz główkę, kto jest Gospościa z nad Warty.

Kochana Jaskółko z nad Sekwany i Wiochno! Wiem dobrze z waszych odpowiedzi, ile macie lat i jakie są wasze imiona. Co do mnie, muszę wam donieść, chcąc się z wami zaprzyjaźnić, że mam lat 16, jestem jedynaczką, mam imię Marynia; jestem w VI klasie. Szczerze życzliwa Jaskółka ukraińska.

Kochana Śmietanko! Zdaje mi się, że cię znam, nie z widzenia jednakże, ale z opowiadania. Jeśli zgadłam kto jesteś powiedz mi, czy cię ręka jeszcze boli. Żebyś mnie łatwiej się domyśliła powiem ci, że się nazywam Zosia, i że mam lat 12. Odpowiedz proszę cię, kochającemu Kanarkowi.

Kochana Sarenko z nad Moroczu! Pewno zdziwił się, że nie będąc ci znajomą, piszę do ciebie. Ty zapewne nic o mnie nie słyszałaś, ja jednak wiem nieco o tobie. Nazywasz się Misia D., piszesz piękne wypracowania. Ja się zowię Wańdzia O. siostra waszej byłej nauczycielki p. St. jest u nas. Za parę tygodni mamy odegrać komedyjkę, ja mam rolę krakowianki. Klaniaj się Topolce srebrnej i małej Wandeczce. Napiszcie proszę do mnie. Twoja nieznajoma Brzoza z Gaiku.

Stasię M. pytam czy mieszka w Poniewierzu. Brzoza z Gaiku.